

Szok zwycięstwa

David Graeber

2007

Spis treści

| | |
|---|----|
| I. Ruch antynuklearny. | 4 |
| II. Ruch globalnej sprawiedliwości. | 7 |
| Perspektywy (z krótkim powrotem do Hiszpanii lat 30.) | 13 |

Największym problemem przed jakim stoją ruchy oparte na akcji bezpośredniej jest to, że nie wiemy jak poradzić sobie ze zwycięstwem.

Może się to wydawać dziwnym stwierdzeniem, ponieważ wielu z nas nie czuje się ostatnimi czasy specjalnie zwycięsko. Większość dzisiejszych anarchistów patrzy na ruch globalnej sprawiedliwości jako na pewnego rodzaju mignięcie: z pewnością inspirujące, tak długo jak trwało, ale nie ruch, który byłby w stanie stworzyć trwałą podstawę dla organizowania się, czy zmienić stosunki władzy na świecie. Ruch antywojenny był nawet bardziej frustrujący, jako że anarchiści i anarchistyczne taktyki były znacząco zmarginalizowane. Wojna się skończy, oczywiście, ale tylko dlatego, że wojny zawsze się kończą. Nikt nie czuje, że się do tego znacząco przyczynił.

Sugeruję alternatywną interpretację. Pozwólcie mi przedstawić tutaj trzy wstępne propozycje:

1. Jakkolwiek dziwne może się to wydawać, klasy rządzące żyją w strachu przed nami. Wydają się nadal być przerażone możliwością, że, jeżeli przeciętni Amerykanie na serio zorientują się co one właściwie robią, to mogą bez wyjątku skończyć wisząc na drzewach. Wiem, że wydaje się to być nieprawdopodobne, ale ciężko znaleźć jakiegokolwiek inne wytłumaczenie dla sposobu w jaki wpadają w panikę, gdy zobaczą jakąkolwiek oznakę masowej mobilizacji, a w szczególności masowej akcji bezpośredniej, i przeważnie starają się odwrócić od niej uwagę przez rozpoczęcie jakiejś wojny.
2. W pewien sposób ta panika jest uzasadniona. Masowa akcja bezpośrednia — szczególnie jeśli zorganizowana na zasadach demokratycznych — jest niezwykle efektywna. Przez ostatnich 30 lat w Ameryce miały miejsce tylko dwa przypadki masowej akcji tego rodzaju: ruch antynuklearny w późnych latach 70. i tak zwany ruch „antyglobalizacyjny” z lat mniej więcej 1991-2001. W każdym przypadku główne polityczne cele ruchu zostały osiągnięte znacznie szybciej niż prawie ktokolwiek zaangażowany mógłby się spodziewać.
3. Prawdziwym problemem przed jakim stoją tego typu ruchy jest to, że zawsze zaskakuje ich szybkość swojego początkowego sukcesu. Nigdy nie jesteśmy przygotowani na zwycięstwo. Wywołuje ono zamęt wśród nas. Zaczynamy ze sobą walczyć. Powstawanie represji i odwołania do nacjonalizmu, które w nieunikniony sposób towarzyszą jakiejś nowej rundzie wojennej mobilizacji, przysługują się wtedy autorytarystom z każdej strony politycznego spektrum. W rezultacie, gdy pełna skala naszego początkowego zwycięstwa staje się jasna, jesteśmy przeważnie zbyt zajęci kontemplowaniem porażki, żeby to w ogóle zauważyć.

Pozwólcie mi przyjrzeć się dwóm najbardziej jaskrawym przypadkom, jeden po drugim.

I. Ruch antynuklearny.

Ruch antynuklearny z późnych lat 70. był pierwszym pojawieniem się w Ameryce Północnej tego, co obecnie uważamy za standardowe anarchistyczne taktyki i formy organizacji: masowe akcje, niezależne od rządu grupy łączone przez wspólny, polityczny cel, rady z wyznaczonymi przedstawicielami, dochodzenie do konsensusu, solidarność z uwięzionymi, podstawowe zasady zdecentralizowanej demokracji bezpośredniej. Wszystko to było trochę prymitywne w porównaniu do obecnych czasów i istniały znaczące różnice — w szczególności znacznie surowsze, podobne do Ghandiego, podejście do braku przemocy — ale wszystkie elementy już tam były i po raz pierwszy szły w jednym pakiecie. Przez dwa lata ruch rósł z niesamowitą prędkością i wszystkie znaki wskazywały na to, że ma się stać fenomenem na skalę kraju. Wtedy, niemalże tak samo szybko, znikł.

Wszystko zaczęło się kiedy, w 1974 roku, kilku pacyfistów-weteranów, którzy zostali organicznymi rolnikami w Nowej Anglii, z powodzeniem zablokowało konstrukcję proponowanej elektrowni atomowej w Montague, Massachusetts. W 1976 roku wspólnie z innymi aktywistami z Nowej Anglii, zainspirowani sukcesem trwającej rok okupacji elektrowni w Niemczech, stworzyli sojusz Clamshell. Bezpośrednim celem Clamshell było zatrzymanie budowy planowanej elektrowni atomowej w Seabrook w New Hampshire. Choć sojuszo- wi nigdy nie udało się sprawić, by okupacja przyniosła coś innego niż serię dramatycznych, masowych aresztów połączonych z solidarnością z uwięzionymi, ich działaniom — w szczytowym momencie angażującym dziesiątki tysięcy ludzi organizujących się na zasadach demokracji bezpośredniej — udało się zakwestionować samą ideę energii atomowej w stopniu w jakim nigdy wcześniej się to nie stało. Podobne koalicje zaczęły pojawiać się w całym kraju: sojusz Palmetto w Południowej Karolinie, Oystershell w Maryland, Sunflower w Kansas i, najsłynniejszy ze wszystkich, sojusz Abalone w Kalifornii, początkowo stworzony w reakcji na kompletnie szalony plan zbudowania elektrowni atomowej w Diablo Canyon, prawie bezpośrednio na dużej linii uskokowej.

Pierwsze trzy akcje masowe przeprowadzone przez Clamshell, w latach 1976-1977, były olbrzymimi sukcesami. Ale wkrótce w sojuszu nastąpił kryzys odnośnie spraw demokratycznego procesu decyzyjnego. W maju 1978 roku nowo utworzony Komitet Koordynujący złamał zasady procesu akceptując złożoną w ostatniej chwili rządową ofertę trzech dni legalnego zgromadzenia w Seabrook zamiast, jak planowano, czwartej okupacji (wymówką była niechęć do wyobcowania lokalnej społeczności). Rozpoczęły się zażarte dyskusje odnośnie konsensusu i relacji w ramach społeczności, które potem objęły zakaz przemocy (początkowo nawet rozcinanie płotów, czy środki obronne takie jak maski gazowe, były zabronione), dyskryminację płciową i tak dalej. W 1979 roku sojusz rozpadł się na dwie, rywalizujące ze sobą i coraz bardziej nieefektywne frakcje i po wielu opóźnieniach elektrownia w Seabrook (a przynajmniej jej połowa) zaczęła funkcjonować. Sojusz Abalone istniał dłużej, aż do 1985 roku, po części z powodu swojego twardego rdzenia anarchafeministek, ale koniec końców, Diablo Canyon również otrzymał zielone światło i również zaczął działać w grudniu 1988 roku.

Na pierwszy rzut oka nie wygląda to zbyt inspirująco. Ale co tak naprawdę ruch starał się osiągnąć? Pomocnym może być zarysowanie tutaj pełnego zakresu celów:

1. Cele krótkoterminowe: zablokować budowę określonej elektrowni atomowej (Seabrook, Diablo Canyon...).
2. Cele średnioterminowe: zablokować budowę wszystkich nowych elektrowni atomowych, zdelegitymizować samą ideę energii atomowej i rozpocząć przechodzenie w kierunku oszczędzania i zielonej energii i potwierdzić skuteczność nowych form bezprzemocowego oporu i inspirowanej feminizmem demokracji bezpośredniej.
3. Cele długoterminowe: (przynajmniej dla bardziej radykalnych elementów) rozbić państwo i zniszczyć kapitalizm.

Rezultaty stają się jasne. Cele krótkoterminowe prawie nigdy nie zostawały spełnione. Pomimo licznych zwycięstw taktycznych (opóźnienia, bankructwa przedsiębiorstw usługowych, prawne zakazy) wszystkie elektrownie, które stały się celem masowej akcji, koniec końców weszły do użycia. Rządy nie mogą sobie po prostu pozwolić, by zobaczono, że przegrywają w takiej bitwie. Długoterminowe cele oczywiście nie zostały również osiągnięte. Ale jednym z powodów dla których nie były jest to, że wszystkie cele średnioterminowe zostały zrealizowane niemalże natychmiast. Akcje zdelegitymizowały samą ideę energii atomowej — uświadamiając opinię publiczną do tego stopnia, że kiedy Three Mile Island roztopił się w 1979 roku, oznaczało to zagładę dla tego przemysłu na zawsze. O ile plany elektrowni w Seabrook i Diablo Canyonie mogły nie zostać anulowane, każdy następny wówczas rozważany plan budowy reaktora atomowego został, a żaden nowy nie został zaproponowany przez ćwierć wieku. Faktycznie zaszło przesunięcie w stronę oszczędzania i zielonej energii oraz pokazano zasadność nowych, demokratycznych technik organizowania się. Wszystko to stało się szybciej niż ktokolwiek tak naprawdę przewidywał.

Z perspektywy czasu, łatwo możemy zobaczyć, że większość z dalszych problemów wynikła bezpośrednio z prędkości sukcesu ruchu. Radykałowie mieli nadzieję, że pokażą połączenia pomiędzy przemysłem atomowym, a samą naturą systemu kapitalistycznego, który go utworzył. Jak się okazało, system kapitalistyczny dowiódł, że jest ze wszech miar chętny, by wyrzucić za burtę przemysł nuklearny w chwili, gdy tylko stał się balastem. Kiedy wielkie kompanie usługowe zaczęły twierdzić, że one również popierają zieloną energię, oferując temu co dzisiaj nazwalibyśmy typami NGOów miejsce przy stole, zeskoczenie ze statku stało się wielką pokusą. Zwłaszcza, że wiele z nich sprzymierzyło się z bardziej radykalnymi grupami od początku mając na celu uzyskanie dla siebie miejsca przy stole.

Nieuniknionym skutkiem była seria zagorzałych debat strategicznych. Jednakże nie jest możliwym dogłębne zrozumienie tego bez wpierw zrozumienia, że debaty strategiczne w obrębie ruchów demokracji bezpośredniej, są jako tako rzadko przeprowadzane. Prawie zawsze przybierają formę debat o czymś innym. Weźmy na ten przykład kwestię kapitalizmu. Antykapitałści są przeważnie bardzo entuzjastyczni, żeby omówić ich poglądy na ten temat. Liberałowie z kolei naprawdę nie lubią być zmuszani do mówienia „w zasadzie

to jestem za utrzymaniem kapitalizmu”, więc kiedykolwiek tylko mogą próbują zmienić temat. Tak więc debaty odnośnie tego czy należy bezpośrednio sprzeciwiać się kapitalizmowi, przeważnie rozgrywają się jakby były krótkoterminowymi debatami odnośnie taktyki i braku przemocy. Autorytarni socjaliści lub inni, którzy nie ufają w demokrację samą w sobie, również nie lubią o tym rozmawiać i wolą dyskutować o potrzebie stworzenia jak najszerzej koalicji. Ci, którzy lubią demokrację, ale czują, że ich grupa przybiera zły kierunek strategiczny, często orientują się, że znacznie bardziej efektywne jest krytykowanie jej procesu podejmowania decyzji niż jej faktycznych decyzji.

Działa tutaj również inny czynnik, który jest jeszcze mniej zauważany, ale który uważam za równie ważny. Każdy wie o tym, że kiedy jakkolwiek rząd staje naprzeciw szerokiej i potencjalnie rewolucyjnej koalicji, jego pierwszym ruchem jest próba jej rozbicia. Dawanie koncesji umiarkowanym i selektywne kryminalizowanie radykałów — oto podstawy sztuki rządzenia. Rząd Stanów Zjednoczonych jest jednak właścicielem światowego imperium będącego stale w stanie mobilizacji do wojny, a to daje mu inną opcję, której większość rządów nie posiada. Osoby nim rządzące mogą, praktycznie kiedykolwiek tylko zachęca, zdecydować na podniesienie poziomu przemocy poza krajem. Okazało się to być niezwykle efektywnym sposobem na rozbrojenie społecznych ruchów skupionych wokół spraw wewnętrznych. Nie wydaje się wcale być przypadkiem, że ruchowi o prawa obywatelskie towarzyszyły znaczne polityczne koncesje oraz szybka eskalacja wojny w Wietnamie; że w następstwie ruchu antynuklearnego nastąpiło zarówno porzucenie energii atomowej jak i zaostrzenie się Zimnej Wojny z programem gwiazdnych wojen i zastępczymi wojnami w Afganistanie i Ameryce Środkowej; że ruchowi sprawiedliwości globalnej towarzyszył upadek konsensusu waszyngtońskiego i początek „War on Terror”. W rezultacie Students for a Democratic Society musieli porzucić swój pierwotny nacisk na demokrację uczestniczącą, by stać się zaledwie ruchem antywojennym; ruch antynuklearny transformował się w ruch zamrożenia nuklearnego; horyzontalne struktury Direct Action Network i Peoples’ Global Action utorowały drogę dla hierarchicznych, budowanych z góry na dół organizacji masowych takich jak ANSWER i UFPJ. Z rządowego punktu widzenia militarne rozwiązanie niesie ze sobą pewne ryzyko. Cała sprawa może obrócić się przeciwko nim, tak jak stało się to w Wietnamie (stąd się bierze obsesja, istniejąca co najmniej od I wojny w Zatoce Persejskiej, by stworzyć wojnę odporną na wszelkie protesty). Zawsze jest też małe ryzyko, że błędy w obliczeniach przypadkowo wywołają nuklearny Armageddon i zniszczą planetę. Jest to jednak ryzyko, którego politycy, w obliczu społecznych niepokojów, podejmują się z wielką chęcią — chociażby dlatego, że bezpośrednio demokratyczne ruchy ich szczerze przerażają, to ruchy antywojenne są preferowanym przez nich przeciwnikiem. Państwa są ostatecznie formą przemocy. Dla nich zmiana tematu dyskusji na przemoc jest przejściem na ich własne podwórko, tym o czym naprawdę wolą rozmawiać. Organizacje stworzone zarówno do wywoływania jak i sprzeciwiania się wojnom zawsze będą skłaniały się do bardziej hierarchicznej organizacji niż te stworzone do prawie jakiegokolwiek innego celu. Z pewnością stało się to właśnie z ruchem antynuklearnym. Choć antywojenna mobilizacja z lat 80. przyniosła znacznie większe liczby protestujących niż kiedykolwiek udało się to Clamshell, czy Abalone, ale oznaczała również powrót do marszów z transparentami,

legalnych zgromadzeń i porzucenia eksperymentów z nowymi formami demokracji bezpośredniej.

II. Ruch globalnej sprawiedliwości.

Zakładam, że nasi szanowni czytelnicy są zaznajomieni z wydarzeniami w Seattle, blokadami MFW-Banku Światowego sześć miesięcy później w Waszyngtonie przy A16 i tak dalej.

W Stanach Zjednoczonych ruch rozbłysnął tak szybko i dramatycznie, że nawet media nie były w stanie go zupełnie zlekceważyć. Szybko zaczął również sam siebie zjadać. Direct Action Network były zakładane niemalże w każdym większym mieście w Ameryce. O ile część z nich (szczególnie w Seattle i Los Angeles) była reformistyczna, antykorporacyjna i popierała ścisły kodeks antyprzemocowy, większość (jak te z Nowego Jorku i Chicago) była przeważająco anarchistyczna i antykapitalistyczna i używała zróżnicowanych taktyk. W innych miastach (Montreal, Waszyngton) utworzyły się nawet jeszcze wyraźniej anarchistyczne Anti-Capitalist Convergences. Antykorporacyjne DANy niemalże natychmiast zniknęły, jedynie kilka z nich przetrwało dłużej niż parę lat. Miały miejsce niekończące się, zażarte debaty: o przemocy, o podróżowaniu na protesty, o rasizmie i przywilejach, o zasadności organizacji w ramach modelu sieci. Potem miał miejsce 9/11, w następstwie którego znacząco podniosły się poziomy represji i związanej z tym paranoi, a potem paniczny popłoch prawie wszystkich z naszych byłych sojuszników spośród związków i NGOów. W Miami w 2003 wyglądało na to, że zostaliśmy rozgromieni, a cały ruch ogarnął paraliż z którego dopiero od niedawna zaczęliśmy się budzić.

11. września był tak dziwnym wydarzeniem, taką katastrofą, że prawie niemożliwym jest dla nas dostrzec cokolwiek innego wokół niej. W jej bezpośrednim następstwie, prawie wszystkie ze struktur stworzonych w ramach ruchu antyglobalizacyjnego upadły. Ale jednym z powodów dla których stało się to tak łatwo było — nie tylko to, że wojna wydawała się być o tyle bardziej nagłą sprawą — ale to, że ponownie jeśli chodzi o większość z naszych bezpośrednich celów, my już niespodziewanie wygraliśmy.

Osobiście dołączyłem do DANA w Nowym Jorku około wydarzeń A16. W tamtym czasie DAN jako całość postrzegał siebie jako grupę o dwóch głównych celach. Pierwszym z nich była pomoc w koordynacji północnoamerykańskiego skrzydła szerokiego, światowego ruchu przeciwko neoliberalizmowi i temu co było wówczas nazywane konsensusem waszyngtońskim; zniszczenie hegemonii neoliberalnych idei; zatrzymanie wszystkich nowych umów handlowych (WTO, FTAA) i zdyskredytowanie i w końcu zniszczenie takich organizacji jak MFW. Drugim celem było rozpowszechnienie (znacznie inspirowanego anarchizmem) modelu demokracji bezpośredniej: zdecentralizowane, niezależne od rządu połączone wspólnym celem struktury, podejmowanie decyzji w oparciu o konsensus, zastąpienie staromodnych, aktywistycznych form organizacji przez ich przewodniczące komitety i ideologiczne spory. W tamtych dniach nazywaliśmy to czasami „zaraźnizmem” (ang. contaminationism”), przekonaniem, że wszystko czego ludziom potrzeba to doświadczenie przez nich akcji bezpośredniej i bezpośredniej demokracji, a oni sami zechcą zacząć je

imitować. Istniało to powszechne odczucie, że nie próbujemy budować trwających struktur: DAN było tylko środkiem służącym do spełnienia tego celu. Gdy już miało go wypełnić, jak wyjaśniało mi kilku założycielskich członków, nie istniałaby dalsza potrzeba jego istnienia. Z drugiej strony były to dosyć ambitne cele, tak więc zakładaliśmy, że nawet jeśli je osiągniemy, zajmie to nam najprawdopodobniej co najmniej dekadę.

Jak się okazało, zajęło to nam około półtora roku.

Oczywiście nie udało nam się wywołać rewolucji społecznej. Ale jednym z powodów dla których nigdy nie dotarliśmy do momentu inspirowania setek tysięcy ludzi do buntu było to, że, ponownie, osiągnęliśmy nasze pozostałe cele tak szybko. Weźmy kwestię organizacji. Choć antywojenne koalicje nadal działają, jak to antywojenne koalicje mają w zwyczaju, jako szerokie fronty organizowane z góry na dół, prawie każda mniejsza, radykalna grupa, która nie jest zdominowana przez marksistowskich sekciarzy tego czy innego sortu — czyli mówimy o wszystkim od organizacji syryjskich imigrantów w Montrealu, czy społecznych ogródków w Detroit — operuje obecnie na zasadach w znacznej części anarchistycznych. Mogą o tym nie wiedzieć, ale zaraźnizm zadziałał. Patrząc z innej strony, weźmy domenę idei. Konsensus waszyngtoński leży w gruzach. Do tego stopnia, że ciężko nie pamiętać jak wyglądał dyskurs publiczny w tym kraju jeszcze przed Seattle. Rzadko kiedy media i klasy polityczne były tak zupełnie jednomyślne co do jakiejś sprawy. Że „wolny handel, „wolny rynek” i pozbawiony wszelkich ograniczeń turbodoładowany kapitalizm to jedyny możliwy kierunek dla ludzkiej historii; jedyne możliwe rozwiązanie jakiegokolwiek problemu było tak oczywiste, że każdy kto miał w tej sprawie wątpliwości był traktowany jako dosłownie szaleniec. Działacze na rzecz globalnej sprawiedliwości, kiedy po raz pierwszy wdarli się pod uwagę CNN, czy Newsweeku, zostali początkowo przedstawieni jako reakcyjni lunatycy. Rok lub dwa lata później, CNN i Newsweek mówiły, że wygraliśmy dyskusję.

Przeważnie kiedy przedstawiam te spostrzeżenia przed anarchistyczną publicznością, ktoś od razu się sprzeciwia: „cóż, jasne, że retoryka się zmieniła, ale ustawy pozostają takie same”.

W pewnym znaczeniu jest to prawdą. W tym sensie, że to prawda, że nie zniszczyliśmy kapitalizmu. Jednakże my, jako horyzontalne, oparte o akcję bezpośrednią skrzydło globalnego ruchu przeciwko neoliberalizmowi, prawdopodobnie zadaliśmy mu większy cios w ciągu dwóch lat, niż udało się to komukolwiek od czasu, powiedzmy, rewolucji październikowej.

Popatrzmy na to punkt po punkcie:

- UMOWY O WOLNYM HANDLU. Wszystkie ambitne traktaty o wolnym handlu planowane od 1998 roku poniosły klęskę; negocjacje nad MAI ustały; FTAA, na którym skupiały się działania w Quebec City i Miami, został powstrzymany. Większość z nas pamięta spotkanie w sprawie FTAA z 2003 roku przede wszystkim z powodu wprowadzenie tam „modelu Miami”, ekstremalnej policyjnej represji, nawet przeciwko bezprzemocowemu obywatelskiemu oporowi. Miało to wtedy miejsce, ale zapominamy, że ponad wszystkim było to wściekłe szamotanie się grupki skrajnie zgorzkniałych nieudaczników — na spotkaniu w Miami FTAA zostało ostatecznie zabite. Obecnie

nikt nawet nie mówi o szerokich, ambitnych traktatach o takiej skali. Stany Zjednoczone mogą tylko lobbować za mniejszymi, wprowadzanymi między dwoma krajami umowami handlowymi z ich tradycyjnymi sojusznikami, jak Korea Południowa lub Peru, a w najlepszej sytuacji za umowami jak CAFTA, jednoczącymi pozostałe państwa klienckie w Ameryce Środkowej, a nie jest wcale jasne, że uda im się dokonać nawet tego.

- ŚWIATOWA ORGANIZACJA HANDLU (WTO). Po katastrofie (dla nich) w Seattle, organizatorzy przenieśli następne spotkanie na znajdującą się w Zatoce Perskiej wyspę Doha, najwyraźniej decydując, że wolą mierzyć się z ryzykiem bycia wysadzonym przez Osamę bin Ladena niż stanąć ponownie przeciwko blokadzie DANu. Przez sześć lat poświęcali się „Rundzie z Dohy”. Problemem było jednak to, że, ośmielone przez protesty rządy z Południa zaczęły obstawać przy tym, że nie będą dłużej zgadzały się na otwieranie swoich granic na produkty rolnicze z bogatych krajów, o ile te kraje przynajmniej nie przestaną wydawać miliardów dolarów na subsydiowanie swoich własnych rolników, tym samym zabezpieczając brak możliwości konkurencji ze strony rolników z Południa. Jako, że Stany Zjednoczone w szczególności nie miały żadnej ochoty na dokonywanie jakichkolwiek poświęceń, których żądały od reszty świata, wszelkie umowy odpadały. W czerwcu 2006 roku, Pierre Lamy, głowa WTO, zadeklarował koniec rundy z Dohy, a w tym momencie nikt nawet nie wspomina o możliwości następnych negocjacji WTO przez przynajmniej następne dwa lata — kiedy to organizacja bardzo prawdopodobnie może już nie istnieć.
- MIĘDZYNARODOWY FUNDUSZ WALUTOWY (MFW) ORAZ BANK ŚWIATOWY. To jest najbardziej niesamowita historia ze wszystkich. MFW szybko zbliża się do bankructwa i jest to bezpośredni rezultat światowej mobilizacji przeciwko niemu. Żeby ująć to w mocniejszy sposób: my go zniszczyliśmy. Bank Światowy nie trzyma się wcale dużo lepiej. Ale w momencie w którym można było odczuć pełne efekty, nie zwracaliśmy już nawet na to uwagi.

Ostatnia historia jest warta opowiedzenia z większymi szczegółami, więc pozwólcie mi przedstawić ją w tej części na moment, a potem kontynuować główny wątek.

MFW zawsze było arcywrogiem naszej walki. Jest to najbardziej potężne, aroganckie i bezlitosne narzędzie przez które neoliberalne praktyki były przez ostatnie 25 lat narzucające na biedniejsze kraje globalnego Południa, zasadniczo przez manipulację zadłużeniem. W zamian za ratunkowe dofinansowanie, MFW żądał „programów dostosowania strukturalnego”, które wymuszały masowe cięcia w ramach służby zdrowia, edukacji, dopłat do żywności, a także niekończące się plany prywatyzacji, które pozwalały zagranicznym kapitalistom kupować lokalne zasoby za skandalicznie niską cenę. Strukturalne dostosowanie jakoś nigdy nie doprowadziło żadnego kraju, by ten stanął ekonomicznie na swoje własne nogi, a jedynie utrzymywało je w kryzysie, którego rozwiązaniem było zawsze naleganie na jeszcze kolejną rundę strukturalnych dostosowań.

MFW miał inną rolę z którą mniej się obnosił: globalnego egzekutora. To od niego zależało zapobieganie o to, żeby żaden kraj (nieważne jak biedny) mógł kiedykolwiek nie spłacić pożyczek u zachodnich bankierów (nieważne jak idiotycznych). Nawet jeśli bankier zaferował skorumpowanemu dyktatorowi miliardową pożyczkę, a ten umieścił ją bezpośrednio na swoim szwajcarskim koncie bankowym i uciekł z kraju, MFW miał zabezpieczyć wydarcie miliarda dolarów (razem z odsetkami) od jego niedawnych ofiar. Jeśli kraj nie płacił, z jakiegokolwiek powodu, MFW mógł narzucić mu bojkot kredytowy, którego ekonomiczne efekty były mniej więcej porównywalne do bomby atomowej. (Wszystko to wbrew nawet elementarnym teoriom ekonomicznym, gdzie ten kto pożycza pieniądze powinien akceptować pewien stopień ryzyka, ale w świecie międzynarodowej polityki, prawa ekonomiczne obowiązują tylko po to, by być ciężarem dla biednych). Ta rola sprowadziła na niego zagładę.

Stało się to tak, że Argentyna odmówiła spłaty długu i uszło to jej na sucho. W latach 90. Argentyna była pupilką MFW w Ameryce Łacińskiej — sprywatyzowano tam dosłownie każdy budynek publiczny z wyjątkiem biura ceł. Potem, w 2002 roku, gospodarka się załamała. Bezpośrednie skutki są nam dobrze znane: walki na ulicach, publiczne zgromadzenia, obalenie trzech rządów w czasie jednego miesiąca, blokady dróg, okupacje fabryk... „Horyzontalizm” — generalnie anarchistyczna zasada — była trzonem ludowego oporu. Klasa polityczna była tak zupełnie skompromitowana, że politycy musieli ubierać się w peruki i fałszywe wąsy, żeby móc zjeść w restauracji bez zostania zaatakowanym. Kiedy Nestor Kirchner, umiarkowany socjaldemokrata, przejął władzę w 2003 roku, wiedział, że musi zrobić coś dramatycznego, by przekonać większość społeczeństwa nawet do samej idei posiadania rządu, nie mówiąc już o jego rządzie. I faktycznie zrobił jedną rzecz, której nikt na tej pozycji nigdy miał nie robić. Odmówił spłaty długu zagranicznego Argentyny.

Rzeczywiście Kirchner zrobił to całkiem sprytnie. Nie odmówił zapłaty pożyczek dla MFW. Odmówił spłaty prywatnego długu Argentyny, ogłaszając, że dla wszystkich pozostałych pożyczek, zamierza zapłacić tylko 25 centów na każdy dolar. Citibank i Chase oczywiście poszły do MFW, ich stałego egzekutora, żeby zażądać kary. Ale, po raz pierwszy w jego historii, MFW spasował. Po pierwsze, w sytuacji w której argentyńska gospodarka już leżała w ruinach, nawet ekonomiczny ekwiwalent bomby atomowej nie zrobiłby wiele poza poruszeniem gruzu. Po drugie, w zasadzie każdy był świadomy tego, że to rujnujące rady MFW w ogóle doprowadziły do załamania w Argentynie. Po trzecie i najważniejsze, co było niezwykle ważnym skutkiem ruchu globalnej sprawiedliwości: MFW był już najbardziej znienawidzoną instytucją na planecie, a celowe zniszczenie pozostałości argentyńskiej klasy średniej popychałoby rzeczy odrobinę za daleko.

Tak więc pozwolono Argentynie ująć z tym sucho. Po tym wszystko się zmieniło. Brazylia i Argentyna razem umówiły się co do spłaty pozostającego zadłużenia u samego MFW. Z małą pomocą od Chaveza, tak zrobiła to też reszta kontynentu. W 2003 roku, zadłużenie Ameryki Łacińskiej u MFW wynosiło 49 miliardów dolarów. Teraz jest to 694 miliony dolarów. Żeby zrozumieć tego skalę: to jest spadek o 98,6%. Za każdy tysiąc dolarów długu 4 lata temu, Ameryka Łacińska obecnie jest dłużna 14 dolarów. Potem zrobiła to Azja, Chiny i Indie obecnie nie mają żadnych, pozostających długów u MFW i odmawiają brania kolejnych

pożyczek. Bojkot obejmuje teraz Koreę, Tajlandię, Indonezję, Malezję i Filipiny i generalnie każdą inną, znaczącą gospodarkę w tym regionie, w tym Rosję. Fundusz został zmuszony do narzucania swojej władzy tylko gospodarkom afrykańskim i może niektórym częściom Bliskiego Wschodu i byłej sfery sowieckiej (właściwie tym pozbawionym ropy naftowej). W rezultacie jego dochody spadły o 80% w ciągu czterech lat. Najbardziej ironicznym ze wszystkich chichotów historii jest to, że coraz bardziej wygląda na to, że MFW zbankrutuje, jeśli nie znajdzie kogoś chętnego, by go uratować. Nie jest też jasne, czy znajdzie się ktoś chętny, żeby to zrobić. Ze swoją, leżącą w strzępach reputacją fiskalnego egzekutora, MFW nie pełni żadnej oczywistej funkcji nawet dla kapitalistów. Przedstawiono kilka propozycji na ostatnich spotkaniach G8, żeby nadać tej organizacji nową misję— być może pewnego rodzaju międzynarodowego sądu nad bankrutami — ale wszystkie zostały storpedowane, z tego, czy innego powodu. Nawet jeśli MFW przetrwa, został już zredukowany do kartonowej wycinki swojej dawnej świetności.

Bank Światowy, który początkowo przyjął rolę dobrego gliny, jest w trochę lepszym stanie. Ale nacisk musi być tutaj położony na słowo „trochę” — w tym sensie, że jego dochody spadły zaledwie o 60%, a nie o 80% i jest tylko kilka faktycznych bojkotów. Z drugiej strony Bank jest obecnie utrzymywany przy życiu w dużej mierze przez fakt, że Indie i Chiny nadal chcą się z nim układać i obie strony zdają sobie z tego sprawę, więc nie znajduje się on już w pozycji w której mógłby dyktować warunki.

Oczywiście, wszystko to nie oznacza, że wszystkie potwory zostały już zarżnięte. W Ameryce łańciskiej neoliberalizm może się zmywać, ale Chiny i Indie nadal przeprowadzają katastrofalne „reformy” w obrębie kraju. Europejska ochrona socjalna znajduje się pod atakiem, a znaczna część Afryki, pomimo hipokrytycznego pozowania ze strony Bono, jemu podobnych i bogatych krajów tego świata, jest więziona przez długi, a obecnie mierzy się z nową kolonizacją Chin. Stany Zjednoczone, z ich ekonomiczną władzą wycofującą się z większości świata, nerwowo starają się odzyskać swoją kontrolę nad Meksykiem i Ameryką Centralną. Nie żyjemy w utopii. Ale już o tym wiedzieliśmy. Pytanie brzmi czemu nigdy nie zauważyliśmy naszych zwycięstw.

Olivier de Marcellus, aktywista PGA ze Szwajcarii, zwraca uwagę na jedną przyczynę: kiedokolwiek tylko jakaś część systemu kapitalistycznego przyjmuje na siebie cios, czy chodzi tutaj o przemysł nuklearny, czy IMF, jakiś lewicowy dziennik zacznie wyjaśniać nam, że to wszystko tak naprawdę jest częścią ich planu — czy też efektem nieubłaganego ścierania się wewnętrznych sprzeczności kapitału, ale z całą pewnością nie jest to nic za co my sami moglibyśmy być w jakikolwiek sposób odpowiedzialni. Być może nawet ważniejsza jest nasza niechęć do w ogóle wymawiania słowa „my”. Odmowa spłaty długów przez Argentynę, czyż tak naprawdę nie było to zaaranżowane przez Nestora Kirchnera? Co on ma w ogóle wspólnego z ruchem antyglobalizacyjnym? W sensie, nie jest przecież tak, że został do tego zmuszony przez tysiące obywateli buntujących się, niszczących banki i zastępujących rząd przez ludowe zgromadzenia koordynowane przez IMC. Albo, w sumie może właśnie tak było. Cóż, w takim wypadku, ci obywatele byli osobami o niebiałym kolorze skóry na globalnym Południu. Jak „my” możemy brać odpowiedzialność za ich akcje? Zlekceważmy to, że najczęściej postrzegali siebie jako część tego samego ruchu globalnej sprawiedliwo-

ści, co my, że wyrażali podobne idee, nosili podobne ubrania, używali podobnych taktyk, w wielu przypadkach nawet należeli do tych samych konfederacji lub organizacji. Mówienie „my” oznaczałoby tutaj zasadniczym grzechem wypowiedziania się za innych.

Osobiście, uważam, że jest rzeczą sensowną, by globalny ruch patrzył na swoje osiągnięcia w globalnej skali. A są one całkiem znaczące. Jednak zupełnie tak jak z ruchem antynuklearnym, były one niemalże skupione na średnim okresie. Rozrysujmy sobie hierarchię celów:

1. Cele krótkoterminowe: zablokować i rozwiązać określonych szczytów (MFW, WTO, G8 itd.)
2. Cele średnioterminowe: zniszczyć konsensus waszyngtoński wokół neoliberalizmu, zablokować wszystkie nowe umowy handlowe, zdelegitymizować i ostatecznie rozwiązać takie instytucje jak WTO, MFW i Bank Światowy; rozpowszechnić nowe modele demokracji bezpośredniej.
3. Cele długoterminowe: (przynajmniej dla bardziej radykalnych elementów) rozwalić państwo i zniszczyć kapitalizm.

Tutaj znowu znajdujemy ten sam wzór. Po cudzie w Seattle, krótkoterminowe, taktyczne cele były rzadko osiągane. Ale w dużej mierze działało się tak, ponieważ rządy stojąc naprzeciwko takim ruchom wolą okopać się na swojej pozycji i zrobić z ich niespełnienia kwestię zasad. Było to uważane przeważnie za znacznie ważniejsze niż sam sukces kwestionowanego szczytu. Większość działaczy zdaje się nie być świadoma, że w większości przypadków – na ten przykład w czasie spotkań MFW i Banku Światowego w latach 2001 i 2002 – policja koniec końców wprowadziła tak obszerne przepisy bezpieczeństwa, że nieomal sama zamknęła spotkania: doprowadzając do tego, że wiele z imprez zostało anulowanych, ceremonie były zrujnowane, a nikt nie miał tak naprawdę szansy porozmawiać ze sobą. Ale nie chodziło tutaj wcale o to, czy urzędnicy będą mogli się ze sobą spotkać czy nie. Chodziło o to, żeby protestujący nie byli postrzegani jako zwycięzcy.

Tutaj również cele średnioterminowe zostały osiągnięte tak szybko, że sprawiło to, że cele długoterminowe stały się trudniejsze. NGOsy, związki pracownicze, autorytarni marksści i podobni sojusznicy opuścili okręt prawie natychmiast; rozpoczęły się strategiczne debaty, ale były przeprowadzane, jak zawsze, pośrednio, jako dyskusje o rasie, przywilejach, taktyce, cokolwiek byle nie faktyczne rozmowy o strategii. Tutaj również wszystko stało się nieskończenie trudniejsze przez wyruszenie państwa na wojnę.

Ciężkim jest, jak wspominałem, by anarchiści brali na siebie wiele bezpośredniej odpowiedzialności za nieunikniony koniec wojny w Iraku, czy nawet za bardzo krwawy cios jaki imperium tam dostało. Ale można sprawnie argumentować za pośrednią odpowiedzialnością. Od lat 60. i katastrofy w Wietnamie rząd Stanów Zjednoczonych nie porzucił swojej polityki odpowiadania na każde zagrożenie w postaci demokratycznych masowych mobilizacji przez powrót do wojny. Ale musi być z tym znacznie bardziej ostrożny. Praktycznie, musi projektować wojny, tak by były one odporne na protesty. Jest bardzo rozsądnym

uważać, że I wojna w Zatoce Perskiej została bezpośrednio zaprojektowana mając to na względzie. Te podejście zastosowane do inwazji w Iraku — nacisk na małą, używającą nowoczesnych technologii armię, skrajne uzależnienie od masowej siły ognia, nawet przeciwko cywilom, byleby uchronić się przed takimi stratami Amerykanów jak w Wietnamie — zdaje się być stworzone bardziej w celu zneutralizowania jakichkolwiek potencjalnych ruchów pokojowych w kraju niż na militarnej efektywności. Mogłoby to również pomóc w wyjaśnieniu czemu najpotężniejsza armia na świecie okazała się nie radzić, czy nawet przegrywać z niemalże niewyobrażalną zbieraniną partyzantów z niewielkim dostępem do bezpiecznych przestrzeni, funduszy, czy wojskowego wsparcia. Tak samo jak w przypadku szczytów handlowych, mają tak wielką obsesję na punkcie zabezpieczenia, że siły obywatelskiego oporu nie będą postrzegane jako zwycięzcy w walce toczonyj w kraju, że wolą przegrać faktyczną wojnę.

Perspektywy (z krótkim powrotem do Hiszpanii lat 30.)

Jak więc radzić sobie z niebezpieczeństwami zwycięstwa? Nie mogę zaoferować żadnych prostych odpowiedzi. Tak naprawdę napisałem ten esej bardziej po to, żeby zacząć rozmowę, żeby wskazać na problem — żeby zainspirować strategiczną debatę.

Mimo to, pewne następstwa są dosyć oczywiste. Następnym razem, kiedy będziemy planować znaczną kampanię, myślę, że przysłużyłoby się nam chociaż uznanie możliwości, że możemy osiągnąć nasze średnioterminowe cele strategiczne bardzo szybko i że kiedy to się stanie, wielu z naszych sojuszników odpadnie. Musimy uznawać strategiczne debaty za to czym są, nawet wtedy kiedy wydają się dotyczyć czego innego. Weźmy jeden słynny przykład: dyskusje odnośnie niszczenia własności w Seattle. Większość z nich, jak uważam, było tak naprawdę dyskusjami o kapitalizmie. Ci którzy potępiali wybijanie okien robili to przede wszystkim dlatego, że próbowali przekonać konsumentów z klasy średniej do przesunięcia się w stronę zielonego konsumeryzmu opartego na globalnej wymianie; sprzymierzyć się ze związkowymi biurokracjami i zagranicznymi socjaldemokratami. Nie była to ścieżka stworzona po to, by doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji z kapitalizmem i większość z tych, która zachęcała nas do podążania tym szlakiem była co najmniej sceptyczna odnośnie możliwości, że kapitalizm może być kiedykolwiek w ogóle pokonany. Tych, którzy wybijali szyby, nie obchodziło to, czy obrażali podmiejskich właścicieli domów, ponieważ nie postrzegali ich jako potencjalnych członków rewolucyjnej, antykapitalistycznej koalicji. W rzeczywistości próbowali oni użyć mediów, żeby wysłać wiadomość, że system jest wrażliwy — mając nadzieję na zainspirowanie podobnych, insurekcyjnych działań ze strony tych, którzy mogli rozważyć wejście do autentycznie rewolucyjnego sojuszu: wyobcowanych nastolatków, opresjonowanych osób niebiałych, szeregowych robotników zniecierpliwionych przez związkowych biurokratów, bezdomnych, uwięzionych, radykalnie niezadowolonych. Jeśli bojowy ruch antykapitalistyczny miał się zacząć w Ameryce, musiałby on wyjść od właśnie takich ludzi, którzy nie muszą być przekonani, że system jest przegniły, a jedynie, że mogą oni coś z tym zrobić. I tak czy inaczej,

nawet jeśli jest możliwym przeprowadzenie antykapitalistycznej rewolucji bez strzelanin na ulicach — na co większość z nas ma nadzieję, bo mówiąc szczerze, jeśli staniemy na przeciwko armii USA, przegramy — nie istnieje żadna możliwość, że będziemy mieli antykapitalistyczną rewolucję, która w tym samym czasie skrupulatnie przestrzegałaby prawa własności.

Prowadzi to zresztą do interesującego pytania. Co oznaczałaby dla nas wygrana, nie tylko średnioterminowych celów, ale tych długoterminowych? Na ten moment nikt nie zbliżył się nawet do jasności jak miałyby to wyglądać, z tego powodu, że nikt z nas nie ma wiele wiary w „tą” rewolucję w starym, XIX- czy XX-wiecznym rozumieniu tego słowa. Ostatecznie, totalny pogląd na rewolucję, że będzie tylko jedno masowe powstanie lub strajk generalny, a wtedy wszystkie mury runą, jest w całości oparta na starej fantazji przejścia państwa. Jest to jedyny sposób w jaki zwycięstwo mogłoby być absolutne i kompletne — przynajmniej jeśli mówimy o całym kraju lub znaczącym terytorium.

Żeby to lepiej zilustrować, zastanówcie się nad tym: co w rzeczywistości oznaczałoby „zwycięstwo” dla hiszpańskich anarchistów w 1937 roku? To zadziwiające jak rzadko zadajemy sobie takie pytanie. Wyobraźmy sobie po prostu, że byłoby to coś w rodzaju rewolucji rosyjskiej, która zaczęła się w podobny sposób, z rozkładem starej armii, spontanicznie powstającymi sołdatami robotniczymi. Ale miało to miejsce tylko w większych miastach. Po rewolucji rosyjskiej nastąpiły lata wojny domowej w czasie której Armia Czerwona stopniowo narzucała kontrolę nowego państwa nad każdą częścią starego imperium rosyjskiego, niezależnie od tego czy dane społeczności tego chciały, czy nie. Wyobraźmy sobie, że anarchistyczne milicje w Hiszpanii rozgromiły faszystowską armię, która wówczas zupełnie się rozłożyła, a potem wyrzuciły socjalistyczny rząd Republiki z jego biur w Barcelonie i Madrycie. Byłoby to z pewnością zwycięstwo według wszystkich standardów. Ale co stałoby się potem? Czy ustanowiliby Hiszpanię jako nie-Republikę, jako antypaństwo istniejące w obrębie dokładnie takich samych granic międzynarodowych. Czy narzuciliby ustrój rad ludowych w każdej pojedynczej wiosce i mieście na całym terytorium, które kiedyś było Hiszpanią? W jaki sposób? Musimy tutaj pamiętać o tym, że było wiele wiosek, miast, a nawet regionów w Hiszpanii, gdzie anarchiści byli niemalże nieobecni. W niektórych prawie cała populacja składała się z konserwatywnych katolików lub monarchistów; w innych (powiedzmy, kraju Basków) istniała bojowa i dobrze zorganizowana klasa robotnicza, ale o przeważająco socjalistycznej lub komunistycznej tendencji. Nawet w czasach największego szczytu rewolucyjnego ferworu, większość z nich pozostałoby wiernych swoim starym wartościom i ideom. Jeśli zwycięska FAI podjęłaby się eksterminacji ich wszystkich — zadanie wymagające zamordowania milionów ludzi — lub wyrzucenia ich z kraju lub siłowego przesiedlenia ich do anarchistycznych społeczności lub wysłania ich do obozów reedukacji — nie tylko byłaby winna zbrodni na ogromną skalę, ona zrezygnowałaby z bycia anarchistyczną. Demokratyczne organizacje zwyczajnie nie mogą dokonywać zbrodni na systemową skalę: żeby to zrobić, potrzeba by było budowanej z góry na dół organizacji w stylu komunistycznym, czy faszystowskim, jako że nie można po prostu zmusić tysięcy ludzi do systematycznego masakrowania bezbronných kobiet, dzieci i osób starszych, niszczenia społeczności lub wypędzania rodzin z domów ich przodków o ile nie mogą przynajmniej

powiedzieć, że tylko wykonują rozkazy. Wydają się tutaj istnieć tylko dwa możliwe rozwiązania dla tego problemu:

1. Pozwolić Republice funkcjonować jako faktyczny rząd, kontrolowany przez socjalistów, pozwolić im narzucać rządy w terenach, gdzie istnieje prawicowa większość i ułożyć się jakoś z nimi, żeby zostawili anarchistyczne miasta i wioski w spokoju, by mogły się same organizować tak jak chcą i mieć nadzieję, że dotrzyma tego układu (można to uznać za opcję opartą na farcie)
2. Ogłosić, że każdy może zwołać swoje własne, lokalne ludowe zgromadzenie i pozwolić im decydować o swojej własnej formie samoorganizacji.

To drugie wydaje się być bardziej zgodne z anarchistycznymi zasadami, ale rezultaty prawdopodobnie nie były znacząco odmienne. Koniec końców, jeśli mieszkańcy, powiedzmy, Bilbao, zdecydowaną większością opowiedzieli się za stworzeniem lokalnego rządu, jak dokładnie można by ich było zatrzymać? Gminy, gdzie kościół lub właściciele ziemscy nadal cieszyli się ogólnym poparciem prawdopodobnie oddałyby władzę tym samym, prawicowym instytucjom; gminy socjalistyczne lub komunistyczne powierzyłyby władzę socjalistycznym lub komunistycznym biurokratom partyjnym; prawicowi i lewicowi państwowcy stworzyliby wtedy rywalizujące ze sobą konfederacje, które, nawet jeśli kontrolowałyby tylko ułamek dawnego terytorium Hiszpanii, zadeklarowałyby, że to właśnie one są prawomocnym rządem Hiszpanii. Zachodnie rządy uznałyby jeden lub drugi — jako że żaden nie byłby chętny wymieniać się ambasadorami z antyrządem takim jak FAI, zakładając nawet, że FAI chciałaby wymieniać się z nimi ambasadorami, czego by nie chciała. Innymi słowy, obecna wojna na karabiny mogła się skończyć, ale polityczna walka trwałaby nadal, a znaczne części Hiszpanii przypuszczalnie wyglądałyby jak współczesne Chiapas, gdzie każdy dystrykt, czy społeczność są podzielone na frakcje anarchistyczne i antyanarchistyczne. Ostateczne zwycięstwo byłoby długim i żmudnym procesem. Jedynym sposobem, żeby naprawdę wygrać ze państwowymi enklawami byłoby wygrać ich dzieci, co mogłoby zostać osiągnięte przez stworzenie jednoznacznie bardziej wolnego, przyjemnego, piękniejszego, bezpiecznego, zrelaksowanego i spełniającego życia niż te na terenach państwowych. Z drugiej strony zagraniczne, kapitalistyczne potęgi, nawet jeśli nie zainterweniowałyby militarnie, zrobiłyby wszystko co tylko mogą, żeby obciąć głowę niesławnemu „zagrożeniu dobrego przykładu” przez ekonomiczne bojkoty i działalność wywrotową i przez dostarczanie środków do państwowych stref. Ostatecznie wszystko prawdopodobnie zależałoby od stopnia w jakim anarchistyczne zwycięstwa w Hiszpanii zainspirowałyby podobne powstania w reszcie świata.

Prawdziwym celem tego ćwiczenia myślowego jest tylko pokazanie, że nie istnieją żadne oczywiste przełomy w historii. Drugą stroną starego wyobrażenia jednoznacznego przełomu, pojedynczego momentu w którym państwo upada, a kapitalizm upada, jest to, że wszystko mniejsze od tego nie jest tak naprawdę żadnym zwycięstwem. Jeśli kapitalizm nadal istnieje, jeśli zaczyna sprzedawać na rynku wasze kiedyś przewrotne idee, oznacza

to, że tak naprawdę kapitaliści wygrali. Przegraliście, zostaliście przejęci. Dla mnie jest to absurdalne. Czy możemy powiedzieć, że feminizm przegrał, że nic nie osiągnął, tylko dlatego, że kultura korporacyjna czuje się zobligowana do deklaratywnego potępiania seksizmu, a kapitalistyczne firmy zaczęły promować feministyczne książki, filmy i inne produkty? Oczywiście, że nie: o ile nie udało wam się zniszczyć kapitalizmu i patriarchy jednym śmiertelnym ciosem, jest to właśnie jeden z najjaśniejszych znaków, że udało się wam gdzieś dojść. Prawdopodobnie jakakolwiek efektywna droga do rewolucji będzie składać się z niezliczonych momentów przejmowania, nieskończonych zwycięskich kampanii, nieskończonych małych aktów insurekcji lub momentów ucieczki i ukrytej autonomii. Mam opory w ogóle spekulować na temat tego jak może to tak naprawdę wyglądać. Ale żeby zacząć iść w tym kierunku, pierwszą rzeczą jaką musimy zrobić jest uznanie, że tak naprawdę my czasami wygrywamy. A właściwie, ostatnimi czasy wygrywamy całkiem sporo. Pytaniem jest — jak wyłamać się z cyklu zachwyty i rozpacz i stworzyć strategiczne wizje (im więcej tym lepiej) odnośnie budowania zwycięstw na sobie, tworzenia kumulującego się ruchu w stronę nowego społeczeństwa.

Anarcho-Biblioteka



David Graeber
Szok zwycięstwa
2007

Skolektywizowano 15/07/20 z
<https://czarnateoria.noblogs.org/general/david-graeber-szok-zwyciestwa/>

pl.anarchistlibraries.net